Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 14.

dnia 6. Marca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 3 zł.
rocznie . . . . 7 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XI.

PIERWSZE ROZCZAROWANIA.

Nazajurz rano pan Władysław Gozdawa jechał do miasteczka powiatowego, aby w imieniu Sterna wyzwać starostę. W ostatnich dwóch dniach doznał tylu głębszych wrażeń, że o sprawie, którą podjął się załatwić, dopiero teraz mógł myśleć spokojniej.

Szczególny to był człowiek ten pan Gozdawa. Z rodu arystokrata, z przekonań niby konserwatysta, a w życiu i postępowaniu okazywał się ciągle demokratą i liberałem w nowoczesnem znaczeniu. Pochodziło to zapewne ztąd, że zacząwszy myslеć dopiero w r. 1848, przedtem bowiem był zbyt jeszcze młody, przesiąkł rozmaitemi frazesami, które od tego czasu są na ustach wielu ludzi, i powoli otworzył z nich sobie cały katechizm społeczno-polityczny, w którym mieściła się jego wiara narodowa. Według tego to katechizmu Polska upadła, ponieważ nie była dość demokratyczną; żydzi są nieszczęśliwymi tułaczami i dla tego Polska powinna ich najpierw równo uprawnić, a potem jeszcze wcielić w swój organizm, żeby nareszcze i oni ojczyznę znaleźli; matką wszelkiego dobra na ziemi jest wolność; szlachta polska była na świecie stanem najbardziej demokratycznym, nareszcie Moskal jest największym nieprzyjacielem Polski. Pan Gozdawa tak wierzył w te hasła, że za każde z nich gotów był rąbać się i strzelać. I musiał wierzyć skoro równocześnie jedyny dziennik krajowy *Teraźniejszość*, który od lat 30 trzymał i pilnie czytał, utwierdzał go w tej wierze. Na każdej stronnicy, niemal w każdym wierszu tego pisma, znajdowały się te same hasła, które brzmiały od lat tylu w jego duszy, a które dla dobra ojczyzny uważał za prawdziwie zbawienne. Pan Gozdawa mimo że nie konspirował i w gronie sąsiadów chętnie przekonanie objawiał, iż Austrja dla własnego bezpieczeństwa i zbawienia będzie musiała wkrótce Polskę odbudować, nie przestał równocześnie sam myśleć o swojej ojczyźnie, a że nie wiedział jak jej teraz służyć, więc służył przez głośne wyznawanie owych haseł liberalnych. Temu to należy przypisać gotowość, z jaką przyjął prośbę Sterna. W głębi duszy i on żydów nie lubił, lub raczej brzydził się ich i gardził nimi; lecz ponieważ ci wszyscy, których widział na czele narodu, ciągle powtarzali, żeśmy z żydów powinni Polaków zrobić, więc i on poczuwał się do obowiązku, przyczynienia się choćby małą cegiełką do zbudowania tego wielkiego i nowego gmachu.

— Jestem jego sekundantem i wyzwę Zygmusia, bo tego dobro kraju odemnie żąda!

Tak tłumaczył się sam przed sobą jadąc do miasta powiatowego. Kilka razy zapytywał się w duchu, czy starosta nie zechce przypadkiem odwołać się do swego charakteru urzędowego, lub czy go nie wyśmieje, coby było jeszcze gorsze. Po bliższem atoli zastanowieniu uznał te obawy za bezpodstawne.

— Przecie we Francji pojedynkują się nawet prokuratorowie, nie dopiero urzędnicy cywilni, a gdyby chciał to w żart puścić, odwołam się do mojej powagi. Wszak jestem jego jakimś tam wujem, czy stryjaszkiem.

Tak myśląc stanął przed starostwem. Starosta przez okno go zobaczywszy, wybiegł aż przed dom aby go powitać.

— Przecie wujaszek pokazał się raz u mnie. Na posiedzenia Rady wujaszek Bóg wie odkąd nie przyjeżdża, (starosta więcej myślał o Radzie niż szlachta, która do niej należała) a o starostwie zapomniał, że istnieje. Naród dziwi się i pyta co to znaczy?

— Nie miałem czasu Zygmusiu, jak cię kocham sercuńciu, czasu nie miałem.

To powiedziawszy ucałował go serdecznie w oba policzki. Weszli do pokoju Zygmunta.

— Co tam słychać w Starejwsi, co Ryś porabia?

— W Starejwsi wszystko po dawnemu, bieda mosterdzieju i kwita, a co do Rysia ten dopiero jutro ma wrócić.

To powiedziawszy w koło się oglądnął i wzrok swój dłużej na tych drzwiach zatrzymał przez które weszli.

— Czy wujaszek kogo oczekuje?

— Nie... radbym tylko z tobą tak pomówić, żeby nas sercuńciu nikt nie słyszał.

— Wujaszek może być spokojnym. W przedpokoju niema nikogo — na dowód drzwi odchylił — i dopóki nie zadzwonię, nikt nam nie przeszkodzi.

Pan Gozdawa usiadł na kanapie, odetchnął, musnął wąs i wzrok badawczy wlepił w swego gospodarza. Starosta był trochę zdziwiony; czekał jednak póki by wujaszek pierwszy nie przemówił. Ten nareszcie tak zaczął.

— Spodziewam się mój Zygmusiu, iż mi za złe nie weźmiesz, że przyjechałem do ciebie sercuńciu w sprawie dosyć drażliwej i nieprzyjemnej. Sądzę jednak mosterdzieju, że jeźli ludziom porządnym wolno na jednym wózku jeździć do sądu i na zabój się procesować, toć wolno i kuzynom spełniać czasem obowiązki sekundantów obozu przeciwnego.

— Intrygujesz mnie wujaszku... lecz jak dotąd nic nie rozumiem.

Pan Gozdawa odpowiedział głosem zniżonym:

— Wcale się nie dziwię sercuńciu, bo i ja na twojem miejscu nie byłbym mniej zaintrygowany. Aby jednak nie drażnić twojej ciekawości, powiem ci krótko a węzłowato, że mosterdzieju przyjechałem cię wyzwać.

— Mnie?

— Tak jest ciebie, Zygmunta Grabowskiego, c. k. Starostę.

— Radbym wiedzieć, jak się nazywa mój przeciwnik i za co się gniewa?

— Zgadnij sercuńciu.

— Trudno mi zgadnąć, skoro sobie nie przypominam, bym kogokolwiek obraził.

— Jakób Stern.

Starosta wypatrzył się na pana Gozdawę, aby się upewnić, że nie żartuje; gdy się jednak przekonał z wyrazu twarzy wujaszka, że słowa jego poważnie były wypowiedziane, skoczył na środek pokoju i wziąwszy się za boki począł śmiać się spazmatycznie.

— Stern! Stern! — powtarzał — tylko tego brakowało!

— Dziwi mnie sercuńciu, że rzeczy tak poważne w śmiech obracasz.

— Bo żadną miarą nie mogę sobie wyobrazić żyda z pistoletem lub pałaszem w ręku.

— To bardzo źle sercuńciu... Skoro żyd wyzywa, okazuje się z tego, że jest człowiekiem honoru, a takiemu satysfakcji nigdy się nie odmawia.

— Szkoda tylko mój wujaszku, że ocknął się za poźno. Ja go ztąd wyprosiłem, jeźli się nie mylę, przed trzema tygodniami, on zaś uznał za stosowne dopiero dziś mnie wyzwać.

— Nie dziw się sercuńciu... Stern jako żyd nie może znać obyczajów rycerskich.

— A mnie się zdaje wujaszku, że się dopiero teraz namyślił, aby na tem coś zarobić.

— Zapominasz się mosterdzieju, że jestem jego świadkiem.

— Najmocniej przepraszam cię wujaszku, lecz ponieważ wiesz, że należę do ludzi prawdomownych, więc rad nie rad musisz wysłuchać co mi na myśl przyszło. Oto dałbym za to gardło wujaszku, że Stern radby w ten sposób zrehabilitować się w obec narodu, który był świadkiem, jakem go tu przyjął. Coś przebąkują że zamierza ubiegać się o mandat... taka zatem rehabilitacja byłaby dla niego bardzo korzystną.

— Ja tam sercuńciu nie zwykłem wglądać w tajne pobudki, któremi ludzie kierują się w swoich czynnościach, bo to mosterdzieju do niczego nie prowadzi. Wiem tylko tyle, że satysfakcji honorowej można odmówić chyba jednemu kryminaliście.

— Lecz to żyd! żyd!

— Cóż z tego, że żyd? Czy my to mosterdzieju żyjemy w czasach średniowiecznych, czy co? Przecie teraz sercuńciu w Austrji równość panuje, a kiedy żyd może być sędzią, toć można się z nim i wyrąbać. Zresztą nie myśl, żeby Stern mosterdzieju był w czemkolwiek do innych żydów podobny. To człowiek honorowy, prawdziwy kraju obywatel. Posłuchaj tylko co dla mnie uczynił.

Tu pan Gozdawa w krótkich lecz dobitnych słowach odmalował niecne postępowanie Lachockiego, a bezinteresowne i szlachetne Sterna. Skończywszy, był pewny że staroście wyrwie się okrzyk podziwienia, ten atoli jakby rozmyślnie ust nie otworzył i tylko głową potrząsał. Dopiero po dłuższej przerwie tak przemówił:

— Z tego, co mi kochany wujaszek powiedział, nie mogłem jeszcze powziąć przekonania, żeby Stern w rzeczy samej był takim ideałem, jakim go wujaszek mieć pragnie. Gdy jednak z drugiej strony w kryminale także jeszcze nie siedział, więc niby nie mam powodu odmówić mu zadośćuczynienia. Chodzi tylko o jednę rzecz. Niech wujaszek nie zapomina, że jestem urzędnikiem państwowym, starostą stojącym na czele powiatu, gdyby się więc o tem w górze dowiedziano, miałbym największe nieprzyjemności. Gotówbym nawet posadę stracić.

— Tego nie obawiaj się Zygmusiu. Wszak ja w to wchodzę, a na mnie sercuńciu możesz liczyć jak na cztery tuzy. Od Sterna wezmę słowo honoru, że do końca życia nikomu o tem ani piśnie, sąsiadom zaś powiem na ucho, że nieporozumienie między wami zostało załagodzone i to wystarczy.

— A jeżeli naród się dowie? Gotów śmiać się ze mnie, żem się z żydem pojedynkował.

— Nie dowie się mosterdzieju, nie dowie! Masz na to moją rękę, że utrzyma się wszystko w tajemnicy.

— Tylko na wuja liczę... Również muszę wyznać, że gdyby wuj w to nie wchodził, Sternowi kazałbym odpowiedzieć, że trochę za późno zgłosił się po satysfakcję.

— Dziękuję ci sercuńciu. Ja zaraz wiedziałem że z ciebie mosterdzieju zuch chłopiec. Mimo złotego kołnierza nie przestałeś być szlachcicem. Teraz zaś powiedz mi Zygmusiu, gdzie i kiedy ochrzcisz tego żydka, bo że go płatniesz mosterdzieju, o tem nie wątpię. Wiem przecie jak się bijesz.

— Najlepiej będzie, jeżeli tę sprawę u wujaszka załatwimy. Pałasze ponoś są?

— Są dwa doskonałe, gwardyjskie z r. 1848.

— Ja tymczasem znajdę sobie świadka i pojutrze o 5tej przyjadę.

— Niechże cię uściskam sercuńciu, kiedyś taki zuch i bywaj mi zdrów bo muszę do domu wracać.

Ucałował kuzyna i za chwilę odjechał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Po kwadransie wyrwała się z tych marzeń, pochwyciła pióro i napisała dwa listy, które zapieczętowała i zaadresowała.

Wszystkie obowiązki co do domu, co do dzieci były spełnione; miała prawo spocząć i resztę nocy dla siebie poświęcić.

Uporządkowała cokolwiek pokój, zgasiła lampę, rada że ją ciemność otacza i zeszła cicho po schodach prowadzących na dziedziniec. Przeszła go ostrożnie. Pies pódwórzowy, spuszczany co noc z łańcucha, przyszedł do niej, pogłaskała go, szepnęła mu pożegnanie, które zwierzę przyjęło z radośnem mruczeniem; bo nic więcej nie rozumiało jak pieszczoty. Pani Bardin otworzyła furtkę wychodzącą na drogę, zamknęła ją uważnie, zawahała się, czy zabrać klucz, który odjęła od pęku kluczy, które zwykle u paska nosiła; ale uśmiechnąwszy się smutnie zatrzymała go i puściła się w dolinę krokiem spieszniejszym, niż ten, którym zwykle dom przebiegała.

Zegar zakładu uderzył pierwszą, pani Bardin zadrżała.

— Jak to późno! — szepnęła.

Prawie pobiegła do wioski; było można sądzić, że idzie na jaką schadzkę.

XIII.

Chociaż Abel postanowił za powrotem do domu rzucić się ojcu na szyję, jednakże gdy tam przyjechali, rzecz ta wydała mu się niepodobną.

Zdawało się, że uczony zapomniał już o swym niepokoju i swej wycieczce porannej. Owa wycieczka dodała mu apetytu.

— Jeść mi się chce! jeść mi się chce! — wołał do syna, gdy ten z konia zsiadał.

Poszedł wprost do jadalnego pokoju, zasiadł i zdawał się być zdziwionym, że ani panny Dumesnil ani Blanki nie widzi; a gdy na jego zapytanie odpowiedziano, że panna de Moranes została w swym pokoju, bo słaba i panna Dumesnil jest przy niej, zaambarasował się i zmieszał; odsunął krzesło, popatrzył na drzwi a widząc że Abel zamiast usiąść niecierpliwi się, że nie może zaraz pójść uściskać siostry, wstrzymał go poruszeniem ręki i wskazał na stół.

— Jedzmy najprzód — powiedział krótko rozkazującym tonem, któremu Abel zawsze ulegał.

W tej samej chwili zwrócił się do służącej:

— Idź, powiedz mej córce, że wróciliśmy obadwaj i jesteśmy zdrowi; niech będzie spokojną; niech się ochrania i leczy, aby mogła zejść do obiadu.

Tym razem Abel dobrze zrozumiał, że ten egoizm był tylko powierzchownym. Ów apetyt tego człowieka uczonego, żyjącego niekiedy jak anachoreta, był kłamstwem. Pan de Moranes żałował owych zwierzeń nocnych; obawiał się że nadto czułości okazał synowi, wyjeżdżając naprzeciw niemu; teraz znów obawiał się popaść w czułostkowość i bronił się od niej wszelkiemi siłami.

Ów umysł wzniosły, niezręczny i naiwny w sprawach sercowych, stawał się szorstkim z niedoświadczenia i wstydu, gdy serce jego zabiło mocniej.

Po trzech kąskach opuścił nóż, napełnił szklankę, postawił ją zaledwie dotknąwszy jej ustami, zachęcał Abla, aby jadł jak on, nie spostrzegając, że właśnie sam nie jadł wcale.

Gdy Abel dziękował gestem, pan de Moranes zaczął mówić głośno, żywo, o pewnej kwestji amerykańskiej, stojącej na porządku dziennym. Ileż to odkryć dokonać można jeżeli się lepiej do tego zabierzemy! Oprócz zabytków dawnych Asteków, ileż jest jeszcze innych nieznanych! n. p. Chichazów! Jak wiele obiecują! Jak można zgłębić przeszłość!

Abel albo nie odpowiadał wcale, albo odpowiadał z roztargnieniem.

Pan de Moranes zmuszony sam na swe pytania odpowiadać, wysilał się i zmęczył więcej niż zwykle. Ucichł wreszcie i nastało milczenie.

Abel powitał je radośnie. Ojciec mógł je przerwać okrzykiem podobnym do tego, który usłyszał w nocy. On sam rozmyślał. Przypominał sobie wszystkie wypadki wczorajsze, nocne, dzisiejsze. Nie mógł pojąć, jak w tak krótkim czasie mógł doznać tylu wrażeń, żyć tak prędko i tak się zestarzeć od wczoraj.

Spieszno mu było zobaczyć siostrę. Powrót jego uspokoił ją co do pojedynku, ale ponieważ nie schodziła, cierpiała jeszcze moralnie i oburzoną jeszcze była na pana de Somery.

Co to był za człowiek ów uwodziciel, który chciał w końcu jeszcze zażegnać nieszczęście i najsprawiedliwszą nienawiść?

Nagle pan de Moranes powstał.

— Myślę że pójdziesz spocząć — powiedział do syna. — Jutro potrzebnym mi będziesz do pracy. Nie spałeś nic; ja przespałem się doskonale. Do widzenia!

— Do widzenia! mój ojcze.

— Ale przymuś się do snu, nie zważaj że to dzień. Zamknij okiennice i strzeż się marzeń. Nie marzy się, skoro się tego nie chce. Doświadczyłem tego kilkakrotnie. Nie pozwalam, aby to, co mnie za dnia zajmuje, niepokoiło mnie jeszcze w nocy. Filozofowie wiele napisali o śnie, pomówimy o tem; dowiodę ci, że można senne marzenia pokonać silną wolą. No, do wieczora!

Uścisnął rękę Abla i zwrócił się spiesznie do swego gabinetu.

Abel ani nie był dosyć przytomnym, ani badawczym, aby sobie tłumaczyć te słowa ojca. Czuł się rzeczywiście zmęczonym. Potrzebował spoczynku, nie dla tego, aby zapomnieć, ale przeciwnie, aby pochwycić wszystkie nitki i powiązać je razem.

Nie chciał spać, przeciwnie czuł, że febra krążąca w jego żyłach oddali od niego sen. Chciał tylko uspokoić się. Współczucie, jakie miał dla Blanki, górowało nad wszystkiemi innemi uczuciami.

Poszedł i cicho zapukał do pokoju siostry. Panna Dumesnil otworzyła mu.

Stara panna uważając się za wykluczoną z dramatu, który tu się odgrywał, była gniewną.

Abel sądził, że zaszło co złego.

— Jakże Blanka? — zapytał.

— Śpi! — odrzekła cicho nauczycielka, przykładając do ust palec długi, chudy, kościsty, czyniący ją podobną do owej strasznej maski „wiecznego milczenia“ wyrzeźbionej przez mego przyjaciela Préaulta w chwili dzikiego natchnienia.

Abel uspokoił się ale i zaambarasował.

— Nie chcę jej budzić — rzekł, cofając się.

Panna Dumesnil, która nie była złą z natury, rozrzewniła się tą uległością.

— Jeżeli pan przyrzekniesz, że nie będziesz robił hałasu! — rzekła usuwając się.

— Przyrzekam pani.

Abel wszedł na palcach.

Blanka spała w istocie owym snem lekkim, który poprzedza sen wieczny.

Jej włosy złotawe, rozczesane około jej główki, tworzyły aureolę koło twarzyczki i łączyły ją w jedną białość z poduszką na której spoczywała.

Abel dotąd nie widział jeszcze siostry za dnia. — Został uderzony tą cerą przejrzystą, temi obrączkami ciemnemi okrążającemi jej oczy. Oddech wolny zaledwie poruszał usteczka wybladłe. Rączki malutkie były wyciągnięte na kołdrze jakby ze zmęczenia.

Sen ją pochwycił, jak śmierć pochwycić ją mogła bez trudności. Padła i zasnęła ulegając przeznaczeniu. Abel chciał pytać pannę Dumesnil, ale nie śmiał. Obawiał się, że sen owej słabej istotki jest równie słabym

jak ona, nie chciał zatem, ażeby najlżejszy szmer zbudził to śliczne i zarazem smutne zjawisko. Patrzał na nią z miłością i przestrachem, wyrzucając sobie, że nie może dodać jej własnej siły. Pytał sam siebie, jakim sposobem wleje życie w te żyły? Czy przybywał jeszcze na czas? Czy owo cierpienie, które boleść zamieniła w melancholję było jeszcze do uleczenia? Czy szczęście wystarczy, aby orzeźwić tę słabą roślinkę? Czy nie było to już za późno? Abel powtarzał sobie że nawet miłość Fryderyka de Rosey, choćby odniosła zwycięztwo nad przesądami familijnemi, mogła jak zbyt gorące słońce zwarzyć tę naturę zbyt delikatną i zabić ją szczęściem.

Podczas kiedy tak spoglądał na nią, zapominając o zmęczeniu, znajdując w tej ciszy spoczynek i równowagę, której pragnął, usłyszał otwierające się drzwi głośniej niż on to uczynił.

Był to pan de Moranes.

Panna Dumesnil urażona łoskotem i tem wejściem, obróciła i spojrzała badawczo na uczonego.

Abel przestrzegł ojca gestem, aby milczał, a baron zaczerwieniony, zaambarasowany, zatrzymał się, ulegając wezwaniu syna i owej guwernantki, z której się zwykle naśmiewał.

Musimy przypuścić, że chociaż ta wizyta pana de Moranes w pokoju córki, nie była pierwszą, musiała jednak być bardzo rzadką i nie spodziewaną, bo panna Dumesnil nie ukrywała swego zdziwienia.

Skłoniła się ceremonialnie, grzecznie, a zarazem ironicznie i uśmiechnęła się pokazując całe dziąsła.

Pan de Moranes ośmielił się wejść, skoro go nie wypędzano, tylko przestrzegano, aby nie robił hałasu. Zrozumiał, zamknął cicho drzwi, zbliżył się ostrożnie do łóżka córki, podając pannie Dumesnil trzy róże, które sam zerwał (źle zerwał i źle wyszukał), wskazał głową, że przynosi je dla Blanki, że ma je dostać skoro się przebudzi; potem zbliżył się do syna i aby się oprzeć na nim czy też połajać go za to, że jeszcze nie spi, oparł się silnie na jego ramieniu.

Abel byłby się chciał doń uśmiechnąć. Był wzruszony całem tem obejściem uczonego. Pan de Moranes wysyłał go zatem spać, li po to, aby sam mógł pójść do córki; zamykał się niby w swej bibliotece, aby Abel nie pomyślał, że tu przyjdzie.

Serce ojcowskie budziło się, ale duma zmuszała go do wybiegów niewinnych, a te róże przyniesione z ogrodu miały być niby wymówką, z którą pan de Moranes byłby zapewnie do Blanki się odezwał:

— Znalazłem je i przynoszę ci, bo szkoda, aby się zmarnowały.

To zwycięztwo, jakie uczony odnosił nad swą obojętnością, czyli raczej dumą, było wzruszające. Abel pochwycił rękę ojca i ścisnął ją mocno.

Spojrzeli na siebie głęboko, jak nigdy dotąd i zrozumieli się.

Pan de Moranes spuścił oczy, przygryzł usta i zawahał się. Nie ma nic piękniejszego nad taką nieśmiałość serca dzikiego, przepełnionego uczuciem; tak samo jak nie ma nic wznioślejszego nad odwagę duszy czułej.

Panna Dumesnil tryumfowała. Nie widziała, ani odgadywała, co się dzieje. Zawsze miała przed sobą aktorów dramatu, który przed nią ukrywano i jej próżność romantyczna zadowoloną była. Była szlachetną w tej chwili, zbliżyła się do uczonego i rzekła doń niezwykle słodko.

— Sądzę, że to nie będzie nic złego. Powrót pana Abla, wizyta, którą Blanka miała wczoraj...

Pan de Moranes skorzystał z tego aby powiedzieć niby z wyrzutem:

— Ale co się tyczy owej wizyty, powinienem zganić panią.

— Mnie panie?

— Tak, tak, obeszłaś się pani ze mną, jak z ojcem Kassandry, który nie zasługuje na to, aby mu powiedzieć o uczuciach córki.

— Wierzaj mi pan, panie baronie...

Pan de Moranes przerwał z dobrocią.

— Cicho! nie budźmy jej. Pomówimy o tem później. Włóż pani te kwiaty w szklankę z wodą.

Przybliżył się do łóżka, popatrzył na Blankę uważnie i zapytał z przestrachem:

— Czy zawsze jest tak bladą gdy śpi?

— Prawie zawsze, panie baronie.

Spuścił głowę, westchnął, chciał usiąść, zawahał się, obrócił się do syna i:

— Chodźmy... — poszepnął. — Jest nas tu za dużo w tym pokoju. Powrócimy potem.

Pociągnął za sobą Abla, względem którego był zazdrośny.

Gdy byli w kurytarzu i zamknęli drzwi ostrożnie; pan de Moranes dodał:

— Poszlę po doktora.

— Co on może pomódz?

— A my moje dziecię, co możemy więcej zrobić?

Abel chciał odpowiedzieć, pan de Moranes spiesznie dodał:

— Wiem, co mi powiesz. Złe pochodzi ze wspomnienia, z zawiedzonych nadziei. Cóż chcesz? Nie mogę zatrzeć widoku, który miała przed dwunastu laty i nie mogę dziś zmienić opinji publicznej. Biedna pokutuje za winę matki... Gorzej by było, gdyby na nią spadała i jej hańba. Doktor zawsze pomoże. On zajmie umysł i rozerwie chorą, może ją nawet uleczyć, bo doda jej ufności w sztukę lekarską. Często się zdarza, iż dla dowiedzenia, że lekarstwa nic nie znaczą, zażywamy je i wtenczas właśnie skutkują... Moje biedne dziecię! smutny twój powrót! już nie śmiem namawiać cię, abyś sobie odpoczął, skłamałbyś, gdybyś mnie usłuchał. Zawsze zrób co możesz... Poszlę Piotra po doktora. Przyrzekam ci, że cię obudzę, gdybyś miał spać... ja nie wiem, czy zasnę; sen napada mnie i oddala się odemnie, ani wiem jak... No! do zobaczenia moje dziecię.

Pan de Moranes zbliżył się do wschodów. Chciał

pochwycić za poręcz, Abel porwał go za rękę, zmusił do obrócenia się i nagle rzucił mu się na szyję.

— No, no! co cię napada? — zapytał pan de Moranes z wymuszoną ironią.

— Ah! mój ojcze! gdybyśmy nie mieli jej uratować.

Ale nie to właśnie Abel chciał powiedzieć. Chciał podziękować ojcu, że tak był serdecznym, a chociaż te słowa nie wyrażały podziękowania, uczony stoik zrozumiał go i był głęboko wzruszony.

Uściskał syna serdecznie i rzekł łagodnie:

— Starajmy się o to wszelkiemi siłami. Wyobrażam sobie, chcę przynajmniej wmówić w siebie, że miałem już w życiu trudniejsze zadania od tego.

Zszedł ze wschodów i tym razem wszedł stanowczo do biblioteki, dokąd kazał zawołać Piotra, aby mu dać rozkaz pojechania po doktora.

Abel poszedł do siebie i spał trzy godziny jak po trudach walki.

Gdy się obudził, Blanka już nie spała, panna Dumesnil czekała na niego, aby mu o tem powiedzieć.

Blanka już nie była tak bladą. Ale rumieńce, które na policzki wystąpiły, były więcej przestraszające niż bladość w czasie snu. Podniosła się, gdy zobaczyła brata i gdy się do niej zbliżył, szepnęła cichutko:

— Czy pojedynkowałeś się?

— Nie.

— A dla czego?

— Jeden z mych przeciwników prosił mnie o zwłokę, drugi został dziś ranionym w pojedynku.

— Ah! który z nich jest rannym?

— Pan Courberon.

— Biedny młodzieniec!... więc to ten „drugi“ zażądał zwłoki?

— Tak.

Oboje spuścili oczy zawstydzeni.

Blanka zapytała się z pewnem wahaniem:

— Ale będziesz się pojedynkował?

— Nie wiem.

Blanka zadrżała mimowoli; po tem chcąc o czem innem zacząć, rzekła z bladym uśmiechem:

— To ojciec przyniósł mi te róże?

— Zapewne.

— Panna Dumesnil mi to powiedziała... Sądziłam że to ty. Czy rzeczywiście ojciec mi je przyniósł?

— Czy chcesz, aby ci sam to powiedział?

— Wierzę ci, wierzę.

Blanka prawie więcej przestraszyła się niż ucieszyła tem zapewnieniem.

Abel pozostał u siostry aż do przyjazdu doktora.

Ten zawyrokował, że to febra, nie mówiąc nic o przyspieszonem biciu serca, które słyszał. Nie pytał ani panny Dumesnil ani Blanki o nic więcej, ale skoro z Ablem wyszli i byli na wschodach rzekł:

— Nie jestem zadowolony; ta mała główka ma nadto imaginacji, myśli nadto. Czy pan pewien, że to dziecię nie trawi się jakim smutkiem ciężkim?

— Może! — szepnął.

— Smutek miłośny, wszak tak? A więc trzeba, aby pan de Moranes załatwił to, w takich razach ojcowie leczą najskuteczniej.

Doktor powtórzył to samo uczonemu.

Pan de Moranes nie zadziwił się tem, ale też i nie zadowolnił.

— Nic więcej pan nie przepiszesz?

— Owszem, zapisałem receptę.

— To dobrze, Piotr to załatwi.

Pan de Moranes pokłonił się z miną urażoną i zasiadł do swych ksiąg. Doktor wyszedł obrażony.

Gdy Abel, który odprowadził lekarza aż do bramy; powrócił do ojca — zastał go pochylonego z głową w dłoniach.

Syn był pewien, że gdyby był przyszedł kilka minut później, byłby ojca zastał we łzach.

Pan de Moranes wyprostował się za jego wejściem.

— Sądziłem — rzekł cierpko — że już nie ma doktorów sentymentalnych. Ten zdaje się pochodzić jeszcze ze starej szkoły. Co on chce od nas? Czyż mogę zmusić tego młodego człowieka, aby poślubił Blankę wbrew woli swej rodziny? Czy mogę zatrzeć przeszłość, aby już nie straszyła mego dziecięcia?

Abel przerwał ojcu ze śmiałością, do której przed dwoma dniami nie byłby zdolnym i blady, drżącym głosem zapytał:

— Czy matka nasza umarła?

— Czemu się o to pytasz?

— Ponieważ Blanka cierpi więcej jeszcze w skutek tej niepewności jak....

— Ah nie! — zawołał pan de Moranes z boleścią — ona cierpi głównie z tego powodu, że nienawidzi mnie!

— Mylisz się, ojcze.

— O nie, to jest owa choroba; gdyby mnie kochała, zapomniałaby łatwo o reszcie. Nie kocha mnie, potępia mnię. Gdyby ta matka występna, niegodna, była tutaj; gdyby przyszło do wyboru, w jej to ramiona rzuciłaby się Blanka a kto wie, czy i ty nie zrobiłbyś tak samo? Co mam zrobić takiego, abyście mnie kochali?

— Ja kocham cię, mój ojcze, i żałuję cię.

— Nie potrzebuję twej litości; jest ona tylko dowodem twego wahania się. Ja chcę, abyście mnie kochali. Jeżeli Blance potrzeba pewności, będzie ją miała. Ja zabiję to wspomnienie, które mi jej serce odbiera.

Pan de Moranes okazywał całą swoją boleść, ale boleść zazdrośną, nieugiętą, jak pogarda. Abel był pewiem, że za chwilę zwycięży. Ojciec przemawiający tak w chwilę potem, gdy zaniósł róże córce chorej, walczył jeszcze z przesądami uczonego i pierwszemi wybuchami miłości ojcowskiej.

— Nie odpowiedziałeś ojcze, na moje zapytanie? — rzekł syn.

— Jakie zapytanie?

Abel złożył ręce i błagalnie powtórzył:

— Czy nasza matka umarła?

Pan de Moranes cofnął się. Gniew zarumienił jego twarz.

— Idź, i zapytaj o to jej kochanka — odparł, zakładając ręce i siląc się na spokój.

Abel zadrzał na tę szorstką odpowiedź.

Pan de Moranes dodał z goryczą:

— Co do mnie, jestem wdowcem.

Była to prawie potakująca odpowiedź. Po krótkiem milczeniu, mówił z goryczą:

— Nie pozostaje mi nic więcej, jak żyć bez dzieci. Opuścicie mnie, czy tak?

— Nie opuszczę cię mój ojcze.

— Czy dla tego, aby mi wciąż mówić, że zabijam córkę moją? — zakrzyknął pan de Moranes czerwony, uderzając pięścią o biórko. — Strzeż się! bo gotów jestem dopuścić się samobójstwa, aby się od niewdzięcznych uwolnić.

Abel chciał się zbliżyć.

— Zostaw mnie, — rzekł ojciec łagodniejąc nagle; — doprowadzasz mnie do tego, że głupstwa gadam, gdy właśnie więcej, niż kiedykolwiek rozumnym być powinienem... Powróć do Blanki, czuwaj, aby gorliwie spełniono przepisy doktora i przyszlij mi pannę Dumesnil... uwolnię cię od niej na pół godzinki. Porozumcie się przez ten czas moje dzieci, czy chcecie zwiększać moje cierpienia, lub mnie pocieszyć...

Abel znów się poruszył.

— Idź! idź! — rzekł pan de Moranes, wskazując na drzwi, — Blanka cię oczekuje.

Abel zawiadomił pannę Dumesnil o życzeniu ojca, usiadł przy łóżku Blanki, ale nic jej nie mówił. Cóż miał jej powiedzieć, aby ją uspokoić i uleczyć, gdy sztuka lekarska żadnego skutku nie odnosiła?

Panna Dumesnil została szorstko przez pana de Moranes przyjętą. Takiem przyjęciem sprawiał sobie ulgę.

Wyrzucał jej, że z jej przyczyny Blanka stała się tak romansową:

— Dajesz jej pani do czytania romanse! — mówił pogardliwie.

— Ręczę panu, że nigdy żadnego nie czyta.

— Tem gorzej, bo pani pozwalasz, aby w swej głowie układała je ku zabawie pani.

Panna Dumesnil zarumieniła się lekko, jej poczciwość nie dozwalała zaprzeć się tego, jednak jej powołanie nakazywało bronić się odważnie; wyprostowała się i z naiwnością przedziwną odparła:

— W każdym razie, panie baronie, te romanse są moralne i dozwolone. Jestem do wytłumaczenia, bo powołanie moje spełniłam sumiennie. Gdyby pani de Moranes żyła, byłaby się uśmiechnęła jak ja, jestem tego pewną, na widok uczciwej miłości, która się małżeństwem pożądanem pod każdym względem, zakończy.

— Małżeństwo nie jest wcale zakończeniem, czy rozumiesz mnie pani! — przerwał pan de Moranes.

Panna Dumesnil wzniosła oczy ku niebu, jak dziewica słysząca bluźnierstwo.

— Pani może to się wydawać zakończeniem, — mówił szorstko uczony, — ale w rzeczywistości jest to problemat ciemny, trudny do rozwiązania. Zanim pozwoliłaś zawikłać się w tę zagadkę córce mojej, powinnaś pani była przestrzedz mnie.

— Zostawiłeś mnie pan zupełnie samodzielną....

— Źle zrobiłem. Cofam słowo. Odtąd chcę znać myśli mej córki.

— Ah! pan ich nie poznasz lepiej jak ja! — westchnęła naiwnie panna Dumesnil. — Tego z czem się przedemną ukrywa, nie wyjawi panu.

— Bo nie nauczyłaś ją pani, aby mnie więcej od pani kochała!

Panna Dumesnil spojrzała zadziwiona.

Chciała powiedzieć: — To pan powinieneś był więcej przywiązać ją do siebie! — Ale dodała tylko sucho:

— Uczyłam ją zawsze być posłuszną!

— Ach, o to mniejsza! Ale Blanka trapi się jakąś tajemnicą, czy tak? Czy znasz ją pani?

Pan de Moranes patrzał pannie Dumesnil bystro w oczy... Stara panna nie zaambarasowała się i odpowiedziała:

— Nie.

Pan de Moranes odetchnął. Przykrem by mu było, gdyby się dowiedział, że nauczycielka jest wtajemniczoną w sprawy familijne.

— A co pani przypuszczasz? — zypytał.

Panna Dumesnil zaambarasowała się. Starała się wytłumaczyć, że to melancholia młodocianego serca. — Ośmieliła się wspomnieć, że sama, będąc w wieku Blanki, wstąpiła jako nauczycielka do pewnego pensjonatu panien, przeszła też przez takie sentymentalne przesilenie, które potem minęło.

Mówiąc to, prostowała się, jak gdyby owo przesilenie do nieba ją uniosło.

Pan de Moranes słuchał z uwagą tej gadaniny. — Chciał z tych wywodów dziwacznych wyciągnąć to, co mogło być użytecznem. Uczył się teraz być ojcem, jak uczył się odczytywać napisy amerykańskie.

Gdy panna Dumesnil skończyła, rzekł spokojnie:

— Powróć pani do Blanki.

— Czy masz mi pan co do zlecenia?

— Nie.

— Czy pan baron już więcej nie chce mych usług?

— Przecież nic takiego nie powiedziałem.

— Nie, ale jeżeli już nie posiadam zaufania pana barona?

— Odjazd pani zmartwiłby Blankę bardzo.

— Czy to jedyny powód, dla którego mnie pan zatrzymujesz.

— Zdaje się, że to powód wystarczający.

— Dla mego serca, tak; ale dla mego uczucia godności, nie.

Usta panny Dumesnil zadrzały, a małe wąsiki niby czarniejszemi się stały.

Pan de Moranes nie chciał zasmucać tej dobrej osoby.

— A więc nie, zatrzymuję panią z tych względów, z jakich cię wybrałem; bo jesteś pani bardzo szanowną osobą. Źle tylko, iż nie wiedziałem, że pani tak lubisz romanse. Zostaw je pani na niejakiś czas w spokoju! Nie wiem, czy ów młody człowiek, którego znasz, a którego ja dotąd nie widziałem, pan de Rosey, wszak tak? zaszczyci mnie prośbą o rękę Blanki i nie wiem, czy zezwoliłbym na to małżeństwo, zważywszy na obecny stan zdrowia mej córki... najgłówniejsza rzecz uleczyć ją. Obawiam się; doktor mnie nie zaspokoił... to, co zapisał, nic nie znaczy. Tą moją obawą chciałem się podzielić z panią, więcej, aniżeli łająć panią... Oto wszystko. Nie gniewajmy się, pani.

Panna Dumesnil zachwycona, że tak pokonała swego tyrana, skłoniła się i wyszła.

W sieni odetchnęła i ulżyła sobie wyrazami:

— Bałwan! chce mnie obowiązków uczyć!

Z drugiej strony drzwi, pan de Moranes przygryzał paznogcie i mruczał ponuro:

— Głupia! ale to szczęście, że nic nie odgadła! W istocie nie ma sposobu na to, aby zastąpić matkę. Ta stara panna jest poczciwa, łagodna; gdyby była została moją żoną, matką Blanki, czy byłaby miała wiecej zmysłu macierzyńskiego? Byłaby chyba instynktem odgadła to, czego żaden dyplom nie nauczy... Co począć?

Rozmyślając, przechodził się po bibliotece.

Kilkakroć przechodząc koło bóstw, spoglądał na nie ironicznie. Zdawało się, że je pyta, przyzywa, że chce znaleźć pomiędzy tymi bogami takiego, którýby go zrozumiał i pocieszył.

Ale nie zgłębiając więcej natury i prawdy, szydził po prostu rozpaczliwie w obec tych świadków swej nauki z niedołężności swego rozumu, z czasu straconego na zapełnianie umysłu tem, co go nie nauczyło miłości rodzicielskiej.

Czy on, który się naśmiewał z tej czytelniczki romansów, lepiej umiał zbadać serce córki swej, ślęcząc nad uczonemi szpargałami?

Zatrzymał się przed ołtarzem meksykańskim, kamień ofiarny przypomniał mu tę chwilę, gdy zmęczony nauką zdrzemnął się tutaj obok tych potworów powykrzywianych; gdy obudził się, żeby odkryć tajemnicę straszliwą dla swego honoru i upokarzającą dla swego rozumu; tutaj odebrał lekcją, z której nie korzystał. Ukarać występną było sprawiedliwem, ale wydrzeć wspomnienie i żal występnej matki ze serc dzieci, to było rzeczą konieczną, której zaniedbał.

Był teraz zazdrośny o tę kobietę słusznie ukaraną. Więc potrzeba umieć być ojcem, być mężem! Albo czy nie trzeba lepiej słuchać głosu natury, instynktu! Powtarzał sobie z gniewem i szczerością.

Jednak są wdowcy, a nawet ludzie żonaci, którzy zastępują rolę matek! Gdybym ja, człowiek suchy, nieprzystępny, nudny, mógł się stać matką dla mej córki, jakby to pięknem i sprawiedliwem było! A czemużby być nie miało? Płeć tu nic nie znaczy. Owa stara panna sentymentalna mniej zdolna do tego niż ja. Ja posiadam intuicją, odkryję tajemnicę. Ah! jak trudno mi zgłębić prawdę! Muszę się łamać za każdym razem, gdy jakie uczucie mnie przenika. Dopiero wtenczas, gdy zostałem zdradzony, poznałem, że kocham, uczułem miłość. Więcej doznałem zazdrości przez kwadrans niż wszyscy Otelle przez dziesięć lat szpiegowania. Dziś gdy spostrzegam, że córka moja mnie nie kocha, ja, który nie postarałem się o jej miłość, czuję budzące się we mnie wszystkie uczucia macierzyńskie... Jeżeli umrze... a umrze, jeżeli nie znajdę lakarstwa i nie wyszukam jakiego cudownego ratunku! Ale nie, ja ją uleczę, uratuję, pozyskam jej przywiązanie; będzie to mojem dziełem, bo ja tak chcę, przysięgam!

Spojrzał z pogardą na wszystkie bóstwa i mumie, które mu wstrętnemi się być zdawały; jakby się z niemi żegnał.

Nagle spostrzegł ów nóż kamienny na stole. Potrząsł głową, a gorzki uśmiech zdawał się opowiadać owej strasznej broni:

— Źle mi posłużyłaś pierwszy raz, posłużysz mi lepiej powtórnie Jeżeli nie dokażę tego, co zamierzam, co powiedziałem, wtenczas mnie złożysz na ofiarę i zabijesz na tym kamieniu, na którym składano ofiary zwycięztwa. Uwolnię się od tego nikczemnego życia i zbawię tych, których miłości nie umiałem dla siebie pozyskać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W OBRONIE OJCZYZNY.

OPOWIADANIE Z WOJNY 1870 ROKU

PRZEZ GRANVILLE - MURRAY.

(Ciąg dalszy).

III.

W sześć tygodni później, spasły kapitan pruski Maksymilian Koch siedząc przy obiedzie w sali stołowej zamku Brossac, rzekł:

— Niech mnie djabli wezmą, jeżeli wiem, czy kolega Leoneisen jest przy zdrowych zmysłach.

— A najgorzej — wtrącił drugi kapitan von Schweipe krająć tłustą pulardę — że ten chłopak nic nie jada.

— I nie pije — dorzucił trzeci kapitan, długi jak tyczka od grochu — nic nie pije — powtórzył wychylając szklanicę przepysznego burgunda z piwnicy księcia.

— Cały sekret jest w tem — rzekł śmiejąc się maleńki porucznik von Wespe, że Leoneisen zakochał się straszliwie. Wiem o tem napewno.

Na to ślicznie wypasiony pułkownik graf von Würstpatzen rzekł, iż zakochany powinien jeść i pić dwa razy tyle co zwykły śmiertelnik, gdyż miłość wysusza. I roześmiał się ze swego dowcipu, a ponieważ był najstarszym oficerem przy stole, przeto wszyscy poszli za jego przykładem.

Taki jest przepis w pruskiej armji; jeżeli pułkownik się śmieje, wszyscy śmiać się powinni — bez tego nie ma karności.

— Lecz w kimże się zakochał? — zapytał znów kapitan Koch nabijając sobie usta zwierzyną.

— Jak się zowie przedmiot jego miłości?

— To już jego tajemnica — wtrącił tyczkowaty porucznik.

— Tajemnica zakochanych nie jest tajemnicą, prędzej czy później odkryć się musi.

— I tego zakochani nigdy nie żałują — rzekł pułkownik i rozśmiał się znowu.

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem jak na komendę.

Nie było z czego się śmiać, lecz karność wojskowa ma swoje prawa.

— Jeżeli pułkownik jest tego zdania — rzekł malutki porucznik — to ja dodam, że nietrudno odgadnąć, jaka mianowicie piękność zawróciła głowę naszemu koledze.

— Jam już zgadł — rzekł któryś z oficerów — ta piękność to...

— Pst, pst, cicho — przerwał inny wskazując wzrokiem na wchodzącego z półmiskami Baptystę.

Szanowny pan Baptysta zmienił widocznie zdanie o prusakach i niedługo wahał się między patryjotyzmem i utratą służby, wolał patryjotyzm schować do kieszeni, a ponieważ łatwo przerzucał się z jednej ostateczności w drugą, przeto z wielką uprzejmością usługiwał ludożercom, na których przed kilkoma tygodniami nie mogła patrzyć jego francuzka dusza. Nowych swych panów traktował z wielkiem poważaniem, zaszczycał ich nawet swoją protekcją jak niegdyś dawnych swych chlebodawców.

— Panie hrabio — rzekł podając pułkownikowi półmiski — szarlotka po rusku i plum-pudding angielski; radziłbym jednak panu skosztować plumpuddingu, mogę zaręczyć, że w tym razie kucharz przewyższył samego siebie.

— Baptysto — zapytał kapitan w okularach — czy nie widziałeś gdzie kapitana von Leoneisen? Dla czego nie przyszedł na obiad?

— Hrabia Leoneisen — odpowiedział Baptysta — cały dzień przepędził w chińskim ogródku, gdzie rysował. Kiedy zaczęło się ściemniać straciłem go z oczu. Być może, że poszedł do miasta.

— Bardzo być może — mruknoł kapitan Nedelangen i zamilkł.

Lecz kiedy Baptysta otworzywszy jeszcze kilka butelek Chambertina i Château-Lafitte wyszedł, tenże kapitan w okularach zawołał:

— W chińskim ogrodzie! Cóż u djabła, już dwudziesty raz słyszę, że siedzi w chińskim ogrodzie. Ogród ten dotyka wiecznie zamkniętego ogrodu owocowego, w którym używa zwykle przechadzki śnieżnolica pani tego zamku. Wzdłuż tego ogrodu ciągnie się również ścieżka prowadząca do wioski Brossac, dokąd córka księcia udaje się często w celu odwiedzania i pielęgnowania chorych.

— Cha! cha! cha!

— Ba — rzekł pułkownik nalewając sobie szklanicę wina — kapitan tak mówi, jakby zrekognoskował nieprzyjacielską twierdzę i przekonał się, że już ją zajął kto inny...

Żart ten wywołał znów wybuch śmiechu, jak plutonowy ogień na komendę.

— Jednak — rzekł znowuż pułkownik — jeżeli który z oficerów przywiezie do Niemiec Lilię de Brossac jako swoją żonę, to da jego królewskiej mości poddaną, nad którą w całym świecie nie ma piękniejszej. Będzie to drugie wzięcie Metzu! No panowie zdrowie zwycięzcy. I spasiony pułkownik hrabia von Würstpatzen wychylił kielich do dna. Wszyscy poszli za jego przykładem, bo gdy pułkownik pije, wszyscy piją. To należy do regulaminu.

Wypiwszy jednak wino i zawoławszy wraz z innemi „za zdrowie zwycięzcy,“ kapitan w okularach rzekł:

— Pułkowniku, spełniłem ten toast, ale wątpię bardzo czy ktokolwiek z nas na tytuł zwycięzcy zasłuży. Raniony margrabia, jeniec nasz na słowo honoru, Al-

bert O., zdaje się tylko marzyć o niej. Jest przytem jej bliskim krewnym i podobno nawet narzeczonym.

— Widziałem ich razem jak chodzili po ogrodzie — odezwał się wysoki kapitan, dobrze już zarumieniony od wina — jednę rękę niósł na temblaku, na drugiej opierała się ona. Lecz ze sposobu, w jaki kobieta idzie pod rękę z mężczyzną, łatwo poznać czy kocha go ona, czy nie. Przypatrywałem się im i wiem na pewno, że panna de Brossac nie kocha wcale margrabiego.

— Margrabia zaś uczy się na gwałt niemieckiego języka i taktyki — wtrącił malutki porucznik — z kim tylko może rozmawia po niemiecku, a czyni to, jak się dowiedziałem od służby, dla dogodzenia bogdance i w celu przysposobienia się „na dzień zemsty.“

I malutki porucznik, przypuszczając że jest bardzo dowcipny, zrobił minę francuza pałającego zemstą.

Oficerowie roześmieli się z tego dowcipu.

— Usłyszymy też zapewne niedługo o marszałku de Q., który przejdzie Ren i osaczy Moguncję.

— Ażeby tam zdobyć szynkę westfalską — rzekł pułkownik i wyrażenie to wydało się całemu towarzystwu tak bardzo dowcipnem, że śmiech długo nie ustawał.

Nareszcie oficerowie wstali od stołu i śmiejąc się z przyszłego marszałka i szynki westfalskiej przeszli do przyległej oranżerji, gdzie oczekiwały na nich cygara i kawa czarna.

IV.

Tymczasem osoby, o których tak wesoło gwarzyli oficerowie pruscy, zajęte były swemi własnemi sprawami i nie znajdowały się w tak szczęśliwem nastroju ducha, jak ich weseli krytycy.

Zaczniemy od hrabiego Leoneisen. Oparty o drzewo, którego nagiemi konary trząsł zimny wicher grudniowy, młody ten oficer, za którym tęskniło niejedno serce kobiece w Berlinie i Kolonii, uważnie przypatrywał się drodze, przy której w pewnej odległości jaśniały światełka z okien ubogich domków wioski Brossac.

Co wieczór hrabia Leoneisen stawał pod tym drzewem jak na warcie i obserwował drogę, gdyż codziennie po obiedzie Lilia Brossac w towarzystwie służącej udawała się tędy do wioski dla odwiedzenia rannych i chorych i nie powracała do zamku wcześniej jak o zmroku.

Codzień też młody oficer otuliwszy się płaszczem oczekiwał jej powrotu. Miło mu było pomyśleć, że chociaż zdaleka strzeże ukochanej osoby, że silna jego ręka gotowa jest w każdej chwili bronić ją od niebezpieczeństwa, chociażby kosztem własnego życia. Ani razu nie rozmawiał on z ukochaną osobą i nie kusił się nawet o to, gdyż wiedział, że miłość jego była bez nadziei. Był przekonany o tem, że chociażby Lilia pokochała go całą siłą uczuć, to jednak i w takim razie musiałaby odmówić mu ręki.

Przed trzema miesiącami Fryderyk von Leoneisen udając się na wojnę, marzył o odznaczeniu się i chwale. Cóż to wszystko znaczy teraz dla niego? Niemcy biją się z Francją i ukochana kobieta straconą być musi dla niego. Jedynem jego szczęściem więc było stać godzinami całemi pod owem drzewem, strzedz jej i czuwać nad nią zdaleka. Takim sposobem mógł ją widywać przez kilka minut na dobę i to musiało mu wystarczać. Były jednakże dnie, w których i to szczęście los zawistny gorzko mu zatruwał. Owego wieczoru, kiedy osoba jego była przedmiotem wesołej gawędy towarzyszów, on jak zwykle stał pod drzewem i cierpiał straszne męczarnie zazdrości. Z konieczności zgadzał się z tą myślą, że Lilia Brossac nigdy jego żoną nie będzie, lecz żeby miała zostać żoną innego człowieka, o tem nie mógł myśleć spokojnie — to doprowadzało go do szaleństwa, do rozpaczy.

W dniu tym, po raz czwarty czy piąty już z kolei widział jak panna Brossac udała się na wieś nie ze służącą jak zwykle, lecz w towarzystwie margrabiego, który miał się już lepiej o tyle, że mógł przedsiębrać niewielkie wycieczki w okolicę.

Młody kapitan, jaśniejący pięknością i siłą, nie mógł wyobrazić sobie, żeby panna de Brossac mogła pokochać takiego nędznego, maleńkiego człowieka jak margrabia, znając jednak zwyczaje francuzkie, wiedział, że małżeństwo tej tak niedobranej pary, jest zupełnie możliwem.

Pogrążony w takich smutnych myślach, zaciskał pięści tak silnie, że paznokcie wpijały mu się w ciało aż do krwi, wicher grudniowy wydawał mu się ostrzejszym, a okolica bardziej pustą i ponurą niż zwykle.

Lecz jeśli hrabia Leoneisen był w rozpaczy, to jego francuzki współzawodnik także nie miał się z czego cieszyć. Przeciwnie, sprawa margrabiego stała coraz to gorzej.

Niemiec mógł się pocieszać tem przynajmniej, że miłość jego była bez nadziei, skutkiem siły wyższej, nie zaś z jego osobistej winy; margrabia zaś widząc swe niepowodzenie truł się myślą, że nie mógł osobistą zasługą zawładnąć sercem kobiety, do której ręki miał wszelkie prawa. To było gorsze.

Lillia Brossac była wciąż jednakowo dobrą dla kuzyna. Obchodziła się z nim łagodnie, delikatnie jak siostra, i gdyby zażądał jej ręki, dałaby mu ją w nagrodę za ślepe posłuszeństwo, jakie jej na każdym kroku okazywał. Lecz to byłoby ofiarą z jej strony, a margrabia miał w sobie za wiele szlachetnej ambicji, by przyjąć taką ofiarę. On żądał miłości, a widząc że to nie jest możliwem, znajdował w sobie dość męztwa do godnego znoszenia swego losu.

Pragnął się jednak przekonać, czy czas i cały szereg poświęceń, jakie dla niej uczynić był gotów, obudzą miłość w jej sercu, czy też to serce drga dla kogo innego żywszem i gorętszem uczuciem. Widział on, że w ostatnich czasach Lilia zmieniła się bardzo. Stała się bardzo poważną i zamyśloną. Niekiedy siedząc przy robótce wpadała w tak głęboką zadumę, że przez kilka minut igła pozostawała nieruchomą w jej ręku,

a oczy patrzyły w przestrzeń z wyrazem ciężkiej rozpaczy.

Gdy jaki szmer lub też głos czyjkolwiek wyrwał ją z tego zamyślenia, znów zaczynała robotę, a twarz jej oblewała się purpurowym rumieńcem.

Wszystkie te symptomata były bardzo widoczne dla zakochanego, dla innych panna de Brossac nie zmieniła się wcale. Wprawdzie spostrzegawczego człowieka mogło uderzyć to, że o wojnie nie wyrażała się już w taki sposób jak przed miesiącem.

Bladła jak dawniej, słysząc wieści o przegranych bitwach, płakała słuchając opowiadań o spalonych wioskach, nieszczęśliwych mieszkańcach, lecz rozmawiając z margrabią o przyszłości Francji, nie wspominała już o konieczności zemsty, o zawojowaniu i zdobyciu krajów obcych. Zmianę tę zresztą uważano jako ostrożność, aby się nie skompromitować wobec mnóstwa szpiegów, któremi zasypał Francję książę Bismark.

Obecnie margrabia odprowadzał na wieś cioteczną swoją siostrę, ponieważ wyraźnie sobie tego życzyła. Sądziła ona, że spacer będzie korzystnym dla jego zdrowia i dla tego zażądała aby z nią poszedł. W ostatnich czasach Albert dokładał wszelkich starań, aby się jej nie naprzykrzać — unikał jej prawie. Lecz wezwanie dzisiejsze, wezwanie, które się już kilka razy z rzędu powtarzało, napełniło go radością i szczęściem,

Kiedy Lilia opatrywała rany tęgiego wieśniaka, którego silnie skaleczył odłamek bomby, Albert siedział przy kominie i śledził każdy jej ruch, a serce jego oblewało się krwią na myśl, że ten ideał dobroci, łagodności i wdzięków, na zawsze jest dla niego stracony.

Chata, w której znajdowali się młodzi ludzie, była zwykłą ubogą siedzibą wieśniaków środkowej i zachodniej Francji. Składała się ona z jednej izby, w której mieściła się liczna rodzina, a prócz tego w kącie była jeszcze zagroda dla krowy. W oczach margrabiego, obecność Lilii nadawała tej brudnej, zakopconej izbie blask i świetność pałacowego salonu.

Przy łóżku rannego, przewiązując bandarze z delikatnością i ostrożnością kobiety oddanej całem sercem dziełu miłosierdzia, Lilia wydawała jeszcze piękniejszą i bardziej zajmującą aniżeli w perłach i jedwabiu. Rzeczywiście jakiż klejnot współzawodniczyć może w blasku z oczami kobiety niosącej pomoc cierpiącym. Patrząc na nią biedny margrabia z goryczą rozmyślał o swojem życiu światowem, o tem życiu, które nie wyrobiło w nim ani jednej zalety, mogącej podbić serce tej szlachetnej istoty.

Ranny opatrzony już przez księżniczkę, odezwał się głosem, w którym drgało uczucie wdzięczności:

— Nie wiesz pani, ile dobrego mi czynisz.

— Niech panienkę Matka Boska błogosławi — dodała żona rannego — czasem myślę sobie, że to właśnie sama Matka Boska schodzi tu do nas w osobie panienki ze wsparciem i pomocą dla nas biedaków.

Margrabia podniósł się i pomógł Lilii włożyć szary burnus z kapiszonem.

— Czy macie wszystko, czy wam nic więcej nie potrzeba? — spytała Lilia wieśniaczki.

— Wszystko dzięki niebu i pani — odpowiedziała zapytana — dostaliśmy pieniędzy, bielizny i lekarstw, a tytoniu...

W tem miejscu wieśniaczka ucięła, jakby spostrzegłszy się raptem że powiedziała głupstwo.

— Co chciałaś powiedzieć o tytoniu? Owszem, twój mąż powinien palić fajeczkę jak dawniej. Oto macie na tytoń — rzekła dobywając portmonetkę — lecz mój przyjacielu, ostrzegam cię, żebyś nie palił za dużo.

Zbliżywszy się do drewnianego pudełka stojącego na półce, podniosła wieczko aby wrzucić tam pieniądze przeznaczone na tytoń — lecz pudełko było całkiem napełnione tytoniem, na którym leżała drewniana, zupełnie nowo i pięknie wytoczona fajeczka. Wieśniaczka zawstydzona zakryła twarz fartuchem.

— Co za prześliczna fajeczka! — zawołała Lilia — prześliczny wyrób, ale nie francuzki. Gdzież to ja widziałam podobne wyroby? ah! prawda, w Niemczech, w górach Harcu...

Wieśniaczka zaczerwieniona zawołała ze łzami w oczach.

— Przebacz pani, przebacz! Wiemy, że postąpiliśmy głupio, ale na przyszłość już nigdy nic od niego nie weźmiemy.

— Co wam przebaczyć? — spytała zdumiona księżniczka.

— Ah pani, przed dwoma miesiącami przyrzekliśmy pani, że nie weźmiemy nic od nich. Oh! panienko, nie wzielibyśmy nic rzeczywiście, chociażby nawet z głodu umierać przyszło... ale ten wcale nie jest podobny do innych prusaków.

— Nie, nie, ani odrobinkę do nich niepodobny — wtrącił ranny.

— O kim wy mówicie? — zapytała Lilia kładąc fajeczkę na swojem miejscu.

Margrabia zauważył, że głos jej cokolwiek był drżący.

— Nie wiemy jak się nazywa — mówiła płaczliwym głosem wieśniaczka — ale chodzi w niebieskim mundurze, jest bardzo piękny i ma takie dobre spojrzenie, że trudno uwierzyć, żeby to mógł być prusak. W tych dniach garbaty Michałek, syn naszego sąsiada, upadł w dół po piasku, o pół mili za wsią, i nie mógł się ztamtąd wygramolić. Matka o mało nie zwarjowała, bo to już noc, a ten nie wraca, a tu jak pani wiadomo gdzie go tam szukać po nocy. W tem około godziny jedenastej, kiedy matka z płaczem zaczęła budzić sąsiadów, przychodzi ten prusak niosąc garbatego Michałka jak małe dziecko na ręku. Sprawiedliwie panienko, tak go przyniósł jak małe dziecko.

(Dokończenie nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

WOJNA O CZERWONY PARASOL.

Na zachodniem wybrzeżu Afryki będą wojska angielskie miały wkrótce znowu maleńkie zajęcie...

Król aszantów, zwany Koffi Kalkalli, zapragnął mieć na nowo swój czerwony parasol, odebrany mu przez anglików w ostatniej wyprawie; wypowiedział im więc nową wojnę.

Wspomniany parasol mianowicie był uciechą i dumą króla Koffi.

Czy słynny monarcha murzyński osłaniał się nim rzeczywiście od deszczu i promieni słonecznych, ażeby nie dostać piegów i nie „opalić się“ — niewiadomo na pewno; tyle wszakże pewna, iż nad wszystko kochał ten swój czerwony, duży, „familijny“ parasol.

Kiedy sir Garnet Wolseley w roku 1873 błyskawicznym swym pochodem w krainę króla „zjadaczy kotów“ (to właśnie oznacza nazwa *Aszan-ti*) zaskoczył tegoż tak niespodzianie w rezydencji Kumasie, iż Koffi Kalkalli ledwie miał czas ujść z życiem i ze swojemi 448 żonami, na dworcu króla pozostał ów wspaniały czerwony parasol obok innych podobnych skarbów i jako trofeum zabrany do Londynu, złożony tam został w muzeum Brytyjskiem.

Król Kalkalli nie mógł przeboleć tej straty...

Ucieczka jednego z poddanych jego na terytorjum angielskie, a następnie odmówienie wydania zbiega ze strony władz angielskich, spowodowały króla do posłania złotego toporka gubernatorowi angielskiemu, co w dyplomatycznym języku aszanckim oznacza wypowiedzenie wojny.

Przy tej sposobności polecił król jegomość oznajmić gubernatorowi, iż potrzebuje koniecznie jego czaszki do ozdobienia nią wielkiego bębna *dżu-dżu*, które to oznajmienie żadną miarą nie może być uważane za jakąś symboliczną pogróżkę tylko, ponieważ Koffi już raz przed laty wykonał był takie orędzie dosłownie.

Mianowicie gubernator angielski sir Charles Mac Carthy, który lekceważył był sobie oznajmienie czarnego króla i niedbale prowadził wojnę z aszantami, został przez nich pokonany, wzięty do niewoli i ofiarowany „bóstwu wielkiego miasta pod drzewem,“ a czaszka jego przez długi czas zdobiła wielki bęben *dżu-dżu*.

Obecnie wszakże — co nie ulega wątpliwości — więcej królowi idzie o czerwony parasol, niż o czaszkę gubernatora, gdy jednak Anglja nie ma wcale ochoty pozbywać się tak pięknego okazu etnograficznego, przeto z uznaniem przyjęła i odesłała do muzeum Brytyjskiego także ów złoty toporek, a w odpowiedzi wysłała posiłki zbrojne na Złote Wybrzeże, które zapewne przybędą jeszcze na czas, ażeby czaszkę gubernatora ochronić od tak niesmacznego losu, jakim by było figurowanie jej na wielkim bębnie *dżu-dżu* w Kumasie...

Król Koffi zaś nietylko może teraz nie odzyskać ulubionego parasola, ale nadto utracić ów wielki bęben.

Nieszczęśliwy!

GAIKI STEFANII.

Na uczczenie zaślubin Cesarzewicza Rudolfa austryackiego z księżniczką Stefanią belgijską proponuje jakiś patryota wiedeński, dr. Stoll, ażeby wszystkie gminy monarchii, wszyscy właściciele dóbr, stowarzyszenia ogrodnicze, leśne i t. p., w dniu zaślubin zasadziły na obszarach, będących ich własnością, po kilka drzewek owocowych, które z czasem rozwinęłyby się w ogrody. Dr. Stoll. projektuje, aby ogródki te nazwać „gajami Stefanii.“ W ten sposób powstałoby w Austryi 70.000 gaików, nazwanych imieniem księżniczki, a z eksploatacyi owoców tychże przybyłby kiedyś monarchii dochód roczny 100 milionów złr.

OBROŃCA PRAW KOBIECYCH.

Na demokratycznym metingu w Rzymie i kobiety silnie były reprezentowane. Między innemi przemawiała piękna, młoda Anna Marja Mazzoni za prawem głosowania dla kobiet. Mówce jej towarzyszyła zrywająca się co chwila burza oklasków. „Pytam Mazzinistów — mówiła — czy w pismach nieśmiertelnego ich mistrza stoi choć jedno słowo, któreby wskazywało na moralną różnicę między mężczyzną a kobietą? (Mazziniści wśród frenetycznych oklasków przeczą). Pytam socjalistów, czy emancypacja kobiety nie jest podstawą tak upragnionych przez nich reform? (Głosy z wszech stron: tak! tak!). Pytam ateistów, w jakiej nowej biblii wyczytali, że kobietę przewyższa mężczyzna w prawach i obowiązkach? Pytam demokratów parlamentarnych, czy mają przekonanie, że głosy, które im otworzyły wstęp do parlamentu, należały do kogoś, co ma inteligencję większą aniżeli kobieta? Wreszcie powiadam demokracji całej, że, jeśli wykluczy kobiety od reform socjalnych, okryje się śmiesznością i złoży dowód moralnej niemocy.“

Ponieważ ogłoszenie wyników wiecu demokratycznego przez rząd zabronionem zostało, nie wiadomo więc, czy w kierunku bronionym przez Annę Mazzoni powzięto jaką uchwałę.

BAL KOSTJUMOWY W... SZPITALU.

Zwyczajem lat poprzednich odbył się i w tym roku w Warszawie w oddziale kobiet cierpiących na umyśle... bal kostjumowy!

Kostjumy przy współudziale zacnych sióstr miłosierdzia, przygotowały sobie chore same, która to praca od dziesięciu już dni niezwykle je zajęła...

Stroje te choć nie bogate przedstawiały się bardzo malowniczo...

Były wieśniaczki, krakowianki, podlasianki i t. p.

Kostjumowanych chorych było 24 — inne o ile stan ich umysłu dozwalał, brały udział w zabawie w szatach świątecznych.

Przed rozpoczęciem wieczoru zastawiono kolację, w której główną rolę, jak zwykle w czasie karnawałowym grały pączki.

O godzinie 7½ rozpoczęły się tańce, do których chore, naprzemian, przygrywały same...

Około godziny 11 po raz drugi podano herbatę i ciasta, a z uderzeniem dwunastej chore zadowolone i rozradowane udały się na spoczynek.

Cała zabawa, w której uczestniczyli też i lekarze oddziałowi, niepozostawiała nic do życzenia.

Zachowanie się nieszczęśliwych kobiet było nienaganne.

Wesołe w miarę, ożywione zdrowym duchem, nie poddawały się nawet na chwilę myśli, iż rzecz rozgrywa się w szpitalnych murach.

Obcy, znalazłszy się w ich gronie, nigdyby się pewnie nie domyślił, gdzie się znajduje...

Biedne chore dusze!

Donioslość lecznicza takich zabaw uznaną jest i wielką zaiste.

Chore nabierają widocznie otuchy rychłego wyzdrowienia i powrotu do świata, do ludzi i domowych ognisk.

Myśl ich wywyższa się na chwilę z błędnego koła — żyją zda się inaczej, jak za lat szczęsnych, błogich...

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.